

RÓŻNE OBLICZA WARSZAWY SINGERA

Festiwal Warszawa Singera organizowany przez Fundację Shalom odbył się już po raz ósmy. Przez te osiem lat zmieniał się jego kształt i poszerzały ramy. Dziś jest to jedna z największych tego typu imprez w Polsce. Od końca lat osiemdziesiątych, kiedy to pierwszy raz odbył się festiwal w Krakowie, podobne przedsięwzięcia – o mniejszym lub większym zasięgu – zaczęły się stopniowo pojawiać w całej Polsce. W ostatnich kilku latach mamy wręcz do czynienia z prawdziwą ich eksplozją. Dziś różnego rodzaju spotkania z kulturą żydowską odbywają się od Wrocławia i Poznania, przez Toruń, Olsztyn, Lublin, Katowice, po Chmielnik czy Nowy Targ. Nieuchronnie też powracają – również prowadzone od lat – dyskusje o roli tych przedsięwzięć oraz o festiwalowej reprezentacji kultury żydowskiej.

Parę lat temu Stanisław Krajewski, doceniając rolę festiwalu w przekazie *jidyszkajt*, pisał: „niestety, często dominuje kicz, czasem nieznośny”. Ostatniego lata dyskusja ta rozgorzała na nowo za sprawą tekstu Zuzanny Radzik o Chmielniku opublikowanego na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Wsparł ją następnie Bogdan Białek, pisząc, że: „Pamięć rekonstruowana poprzez te jarmarczne zdarzenia [dni kultury żydowskiej i festiwale] jest pamięcią odrębności. Żydzi okazują się nawet nie różni lub inni, lecz obcy, odrębni”. Polemizowała z nimi Agnieszka Sabor, wskazując na różnice między małomiasteczkową a wielkomięską wrażliwością, domagając się empatii oraz docenienia lokalnych wysiłków oraz podkreślając, że do zmiany pewnych wyobrażeń potrzeba pracy u podstaw, a nie łatwej krytyki z dystansu. To ważna dyskusja i będziemy chcieli jeszcze do niej na łamach „Cwiszn” wrócić.

Częścią tej debaty jest też pytanie o rolę stołecznej Warszawy Singera. To festiwal wielkomięski, kierowany do publiczności, której nie wystarczają już wyraźnie nostalgiczne wzruszenia, publiczności przynajmniej częściowo gotowej do konfrontacji z własnymi stereotypami, z czego organizatorzy dobrze zdają sobie sprawę. I tak tegoroczny festiwal to wielkie nazwiska żydowskiej sceny muzycznej – Joseph Malovany, Frank London, Jeff Warschauer, Lorin Sklamberg, czy niezwykle ważnych artystów młodszego pokolenia, jak Raphael Rogiński, Ran Dank, i ambitne projekty artystyczne łączące mądrze i – co ważniejsze – ciekawie, przeszłość ze współczesnością. To ważne, choć mniej powszechnie znane, postaci współczesnej kultury jidysz, takie jak Mendy Cahan, Karsten Troyke czy Ben Zimet. To także ciekawe wystawy, serie wykładów, warsztaty (lista mogłaby być bardzo długa, zachęcam do zajrzenia na stronę Festiwalu). Festiwal też coraz mocniej wrasta w tkankę miejską – wychodząc poza Próżną i plac Grzybowski. W tym roku wiele imprez festiwalowych – dyskusji, spacerów, koncertów i projekcji odbywało się na Pradze, przyciągając na festiwal także nieco inną publiczność. Aż przyjemnie było patrzeć na wypełnione widzami sale praskich klubokawiarni – Sens nonsensu czy 4pokoje. Poza tym – jak wcześniej – festiwal pojawił się nad Wisłą. Tym razem w dwóch projektach *Wisła szepcze po żydowsku* oraz *La Playa: Warszawa–Tel Aviv*. Warto zwrócić uwagę na ten drugi projekt, który w popularnej, imprezowej formie prezentował współczesną kulturę żydowską. Szczególnie to ważne w Polsce, gdzie wciąż wielu odbiorców utożsamia kulturę żydowską z kulturą przedwojenną, zapominając nie tylko o jej powojennej historii, ale przede wszystkim – współczesności.

Kolejne ważne festiwalowe miejsca to zrewitalizowana ulica Chłodna, gdzie przeniósł się *Projekt Próżna*, którego kuratorką jest Krystyna Piotrowska (o samym projekcie pisała obszernie w „Cwiszn” 2010, nr 1–2). Festiwal wciąż zaniedbuje Muranów, choć i tam – w prowadzonym przez Fundację Shalom Centrum Kultury Jidysz – odbyła się konferencja poświęcona prasie żydowskiej w Warszawie. Muranów to jednak wciąż niewykorzystany potencjał Festiwalu (i Warszawy w ogóle), a działa tam coraz więcej organizacji – takich jak Stacja Muranów – które można by zaprosić do współpracy. Sama zresztą przestrzeń aż prosi się o jakiś odważny projekt artystyczny.

Tegoroczny Festiwal Singera to bardzo różne tony – od poważnej debaty akademickiej w ramach konferencji po lżejsze formy klubowe oraz rzetelny wysiłek popularyzatorski, to muzyka tradycyjna, klasyczna, współczesne aranżacje dokonań dawnych artystów i zupełnie współczesne kompozycje. Coraz więcej tu głosów artystów autentycznych, czyli takich – jak postulował Stanisław Krajewski – „którzy nie udają, że są kimś innym, ale prezentują to, czym żyją naprawdę [...]”. Coraz więcej odważnych projektów, nie tylko prezentowanych w ramach festiwalu, ale też inicjowanych przez jego organizatorów (do takich należy zaliczyć m.in. zaproszenie Michała Zadary do realizacji spektaklu na kanwie powieści Singera). O projektach tych można – należy nawet – dyskutować, ale przede wszystkim dlatego, że po prostu warto o nich mówić. Niestety pojawiły się też na festiwalu imprezy wpisujące się w jarmarczną festiwalową sztaampę, co zresztą od razu zostało zauważone przez odbiorców, podkreślających ich odmiennosć od całości festiwalu. Niedobrze by jednak było, gdyby miały one przesłonić szereg ważnych artystycznie i intelektualnie wydarzeń. Poniżej nasze subiektywne zbliżenia na kilka z nich.